

KATARZYNA MAK

*Jego*   
WYSOKOŚĆ  
*prezesa*

editio  
red

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Opieka redakcyjna: Barbara Lepionka

Redakcja: Anna Szumacher

Korekta: Jarosław Lipski

Projekt okładki: Justyna Sieprawska

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: [editio@editio.pl](mailto:editio@editio.pl)

WWW: <https://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<https://editio.pl/user/opinie/jegwys>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-289-1760-6

Copyright © Helion S.A. 2025

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność



## Emma

*Co prawda Boże Narodzenie dopiero za tydzień, ale w Stevenson & Son dziś wieczorem miała odbyć się kolacja z tej okazji. Większość zatrudnionych w firmie osób miała pracować aż do przyszłego weekendu, ale byli też i tacy, którzy wzięli urlop, bo planowali wyjechać na święta i spędzić je z najbliższą rodziną. Ja swój zaległy urlop zamierzałam wykorzystać od bardzo dawna, właśnie w okresie świątecznym, bo strasznie długo, prawdę mówiąc zbyt długo, nie widziałam się z babcią. Chciałam jej zrobić niespodziankę, niestety ku wyraźnemu niezadowoleniu mojego narzeczonego. Nie wiem, co wstąpiło w Kaya, ale nie krył niechęci z powodu moich planów, w których oczywiście go uwzględniłam, choć nie brał mojego zaproszenia pod uwagę. Próbował mnie nawet przekonać, żebym je dla niego zmieniła i została na święta w Bostonie. Tłumaczyłam mu, że wrócę zaraz po, że sylwestra i Nowy Rok spędzimy już tylko we dwoje, ale chyba byłam mało przekonująca. Kay zwyczajnie się na mnie obraził. Mam nadzieję, że przejdzie mu do kolacji, którą organizują jego rodzice – właściciele kancelarii – bo w ostatniej chwili zmieniłam zdanie i zamierzam na nią*

*wpaść przed moim stale przekładanym wyjazdem. Liczę, że Kay będzie zachowywał się normalnie, gdyż obawiam się, że dłużej nie zniosę tych jego much w nosie.*

*Przed uroczystością wpadam jeszcze do mieszkania, które wynajmujemy wspólnie z moim narzeczonym, żeby się przebrać. Stawiam na elegancką sukienkę w kolorze butelkowej zieleni oraz czerwone dodatki: szpilki i kopertówkę. Czerń i odcienie szarości, które towarzyszą mi na co dzień, nawet w połączeniu z bielą chyba już zawsze kojarzyć mi się będą z oficjalnymi zebraniem w biurze, ze spotkaniami z klientami, czy nawet sprawami w sądzie – z drobnym wyjątkiem, ponieważ wówczas ubranie dodatkowo przykrywa adwokacka toga – a nie uroczystą kolacją w prawie już rodzinnym gronie. Usta przeciągam koralową szminką, włosy upinam w gustowny kok. Do tego biżuteria, którą dostałam od Kaya na walentynki, zestaw składający się z łańcuszka i wisiora oraz pary kolczyków, pasujących do umieszczonego w zawieszce kamienia. Nieodłącznym elementem mojej garderoby jest także pierścionek zaręczynowy, który dumnie noszę na serdecznym palcu od kilkunastu tygodni.*

*Obracam go odruchowo, sprawdzając, czy jest na właściwym miejscu – ogromnie mnie stresuje, że mogłabym go zgubić, bo jest sporo wart, czym Kay pochwalił się nieskromnie – po czym przypatruję się sobie w lustrze. Wyglądam dobrze, więc już tylko chwytam torebkę oraz płaszcz i wychodzę.*

*Na dole czeka taksówka, którą jadę do siedziby Stevenson & Son. Podróż zajmuje dosłownie chwilę, ponieważ Kay specjalnie wybrał mieszkanie w bliskiej okolicy kancelarii rodziców. W praktyce takie rozwiązanie naprawdę się sprawdziło. Dzięki niewielkiej odległości, dzielącej mieszkanie od biura, sporo zaoszczędza się na czasie, który można spożytkować na coś fajniejszego niż na przejazdy z jednego końca miasta na drugi. Na przykład na spotkania rodzinne, tudzież wizyty mojej przyszłej teściowej, niezapowiedziane rzecz jasna. Ale mniejsza o to...*

*Kiedy taksówka zatrzymuje się przed budynkiem, w którym znajduje się kancelaria, płacę i dziękuję kierowcy, po czym wysiadam i pędzę w stronę stylowej kamienicy. Nie chcę się spóźnić.*

\* \* \*

– Emmo? Skarbie? – Słysząc zza zamkniętych drzwi sypialni. To Trish, moja babcia. Wyrывa mnie ze wspomnień. – Wszystko w porządku?

– Tak. – Z mojego gardła ulatuje dźwięk przypominający skrzypienie starych, nienaoliwionych zawiasów. Próbuję sobie wmówić, że dopiero co się obudziłam, więc to normalne.

– Nic mi nie jest.

– Mogę wejść?

W zasadzie powinnam się spodziewać takiego pytania, bo babcia, odkąd ponownie się do niej wprowadziłam, stale mi matkuje. Zwłaszcza w takich momentach, kiedy szlocham w poduszkę.

Cholerne ściany. Że też są aż tak cienkie.

– Skoro musisz – mamroczę pod nosem, poprawiając zsunięte ramiączko koszulki, przez co mam odsłonięty kawałek piersi.

– Znów miałaś zły sen? – pyta Trish, wsuwając głowę w powstałą między drzwiami a futryną szczelinę.

– To nic takiego – rzucam jak zawsze, na odczepnego. Nie znoszę litości. A do przeszłości, która otwiera mnóstwo niechcianych wspomnień, nie zamierzam wracać.

– Chcesz o tym pogadać, córeńko? – pyta, opierając się na lasce, po czym kuśtykając, wchodzi do środka.

Jak zwykle nieustępliwa. Cała ona. Wiem, że chce dobrze, ale czasem mam dość tego jej ciągłego wtrącania się.

– Nie ma o czym – zbywam ją, choć wiem, że to niegrzeczne i że to nieprawda. Może i jest do czego wracać, choć tak trudno mi się do tego przyznać. Z doświadczenia wiem, że nieprzepracowany do końca problem na ogół powraca, czyniąc straty ze zdwojoną siłą. Dlaczego więc wierzę, że mnie to nie dotyczy? Może dlatego że zawsze byłam niepoprawną optymistką i dopatrywałam się dobrych rzeczy nawet tam, gdzie inni już dawno przestali je dostrzegać?

– Kochanie? – Babcia patrzy na mnie z troską.

– Nic mi nie jest. Naprawdę – rzucam po staremu, z przesadną radością, a potem zwlekam się z łóżka, podchodzę do Trish, całuję ją w policzek i pytam: – Masz ochotę na placki z jagodami? – Jesień za pasem, ale w tym roku aura sprzyja wszystkim roślinom jagodowym. W lesie, nieopodal

domu, widziałam jeszcze trochę owoców czarnej jagody na krzaczkach. – Z góry uprzedzam, placki robisz ty. Ja skoczę po owoce. Z przyjemnością rozprostuję stare kości – dorzucam niby żartem, na co moja babka robi skwaszoną minę.

– Jeśli ty jesteś stara, to ja powinnam już dawno wachać kwiatki, od korzenia rzecz jasna.

– Oj, babciu – jęcę, posyłając kobiecie przeproszający uśmiech. – Wiesz, że nie to miałam na myśli.

– Wiem, wiem. Wkładaj gacie i zmykaj po te maliny.

– A nie jagody? – Oferując pomoc, miałam na myśli jagody zebrane w lesie, o których zresztą wspomniałam. Jestem przekonana, że się nie przejęczyłam.

– Maliny rosną tuż pod nosem, za płotem, a po jagody musiałybyś się specjalnie pofatygować do lasu.

Dłużej nie polemizuję. Wiem, czego babcia chce mi oszczędzić. W lesie o tej porze nietrudno natknąć się na sąsiadów, którzy wybrali się na grzyby albo jagody właśnie. A każde tego typu spotkanie na ogół kończy się niezobowiązującą rozmową. Ta zaś kolejną niezaplanowaną poradą. A ona pracą *pro bono*, którą babcia za wszelką cenę pragnie mi udaremnić. Trish nie jest samolubna i pomaga ludziom, ale z umiarem. Umie także powiedzieć „nie”. Ja nadal mam z tym mały problem.

– Okej. Niech zatem będą maliny. – Kapituluje.

Lubię spacerować, zwłaszcza po lesie. Sąsiedzkie pogaduszki także. Ale nie chcę się spierać z babcią, której ostatnio zdarza się dość często mówić głośno o tym, co sądzi o mojej dorywczej profesji.



Zanim wyjdę z sypialni, z oparcia krzesła chwytam spodnie dresowe, które miałam na sobie wczoraj, a także szczotkę do włosów – zostawiłam ją na szafce obok starego, oblażącego z farby lustra. Muszę doprowadzić się do porządku, na wypadek gdybym znów na kogoś wpadła, choćby na ścieżce biegnącej wzdłuż płotu. Tutaj naprawdę wszystko się może zdarzyć.

– Babciu?! – wołam, kiedy jestem już w korytarzu, na końcu którego znajdują się główne drzwi oraz wąskie, ale dające widok na podwórze okno. – Przewiązywałaś może dzisiaj Merci?

Przystaję na moment, by przez lekko ubrudzoną szybę uważniej przyjrzeć się okolicy. Z tą kozą nigdy nic nie wiadomo. Znika równie szybko, jak się pojawia.

„Może, szukając cienia, po prostu skryła się pod tym starym drzewem?” – nachodzi mnie myśl.

Najpierw rozlega się charakterystyczne szuranie kapciami oraz stukot laski odbijający się od posadzki, a chwilę później za moimi plecami pada odpowiedź:

– Nie. Dlaczego pytasz?

– Bo chyba... – patrzę uważnie w dal – ...właśnie dała nogę.

– No co ty mówisz?! – Babcia podchodzi i staje u mego boku. – Czort nie zwierzak – dorzuca, kiedy pokazuję jej małą białą plamkę znikającą gdzieś w głębi lasu. – Mówiłam, żeby oddać ją komu albo co.

„Albo co” w ustach babci Trish oznacza nic innego, jak przerobić Merci na porcję mięcha. Richard, tutejszy rzeźnik,



zapropował nam tę mrozącą krew w żyłach usługę w zamian za udzieloną mu niegdyś poradę prawną. Odmówiłam, rzecz jasna! A zdarza mi się to naprawdę rzadko.

Richard King jakiś czas temu popadł w konflikt z prawem. Po ostro zakrapianej imprezie, wyprawianej na cześć udanych zbiorów plonów, siadł za kółko na podwójnym gazie. Pech chciał, że potracił rowerzystę. Poszkodowanemu mężczyźnie w zasadzie poza kilkoma siniakami i drobnymi zadrapaniami nic poważniejszego się nie stało – nawet nie wniósł oskarżenia! – ale Richard trafił na dotek. Służby wezwał przypadkowy świadek zdarzenia, który nie chciał słuchać tłumaczeń zarówno sprawcy kolizji, jak i poszkodowanego, kiedy ten usilnie twierdził, że nic mu nie jest i że nie będzie skarżył sąsiada. Pomogłam wówczas panu Richardowi na tyle, na ile zdołałam. Zapłacił grzywnę, dość wysoką, ale ostatecznie nie trafił do pudła, za co był mi naprawdę wdzięczny.

Odkładam szczotkę do włosów na wąski, przylegający do jednej ze ścian stolik i w pośpiechu naciągam na tyłek dres. Nie mam teraz czasu na zastanawianie się, w co tym razem się ubrać. Muszę działać, zanim Merci oddali się od domu jeszcze bardziej. Niesforne z niej stworzenie, przyznaję, ale byłoby mi przykro, gdyby coś się jej przytrafiło. Las jest pełen niebezpieczeństw i różnorodnych pułapek; dziur, które wygrzebały inne zwierzęta czy takich stworzonych ludzkimi rękami, przez kłusowników. Wszystkie, bez wyjątku, mogą czyhać na jej życie, ale ona zdaje się o tym nie wiedzieć.

– Uważaj na siebie – słyszę jeszcze za plecami, zanim przekroczę próg chaty, na co już tylko kiwam w przelocie głową.

Na werandzie szybko wzuwam znoszone trampki, a potem biegiem puszczam się w stronę gęstwiny otaczających zabudowania drzew.

– Merci?! – wołam, kiedy stwierdzam, że nie ma jej w zasięgu wzroku. – Gdzie się skryłaś tym razem? – Rozglądam się uważnie, przeczesując wzrokiem pobliskie zarośla, jednocześnie nieustannie posuwam się do przodu.

– Jej szukasz? – dochodzi mnie naraz z boku. Rozpoznaję ten głos. Należy do jednego z tutejszych, Connora Morrisa, syna okolicznego farmera.

– Dzięki – mówię, podchodząc bliżej do chłopaka i sięgając po parciany sznurek zwisający z jego ręki i połączony z szyją kozy. Jednak w chwili, gdy próbuję go przechwycić, Connor cofa dłoń i mi to uniemożliwia. Uwielbia takie durne zabawy.

– Najpierw znaleźne – rzuca z przekorą, a ja z trudem powstrzymuję się od ciętej riposty.

Wyciągałam kiedyś z tarapatów jego ojca. Stary Morris, jadąc furgonetką do miasta, przypadkiem natknął się na pakunek zostawiony przy drodze, w którym znajdowały się pieniądze. Zwiedziony pozornym szczęściem, nie pofatygował się nawet, żeby zgłosić sprawę na policję i oddać kasę, tylko przywłaszczył sobie gotówkę. Niestety szybko znaleźli się *poszkodowani* i oskarżyli ojca Connora o kradzież,

dodatkowo twierdząc, że w torbie brakuje kilku tysięcy. Sprawa wyglądała naprawdę kiepsko, ale coś mi nie grało. Miałam przeczucie, że tym ludziom nie można ufać. Śledztwo, które przeprowadziłam na własną rękę, wykazało, że w rzeczy samej, to pan Morris padł ofiarą oszustów, naciągaczy. Znalaziona, wypełniona banknotami torba należała bowiem do specjalizującej się w wyłudzeniach szajki – zadzwoniłam w parę miejsc, odnowiłam kilka starych kontaktów i w końcu to udowodniłam. Ci *drobni* przestępcy, którzy rzekomo zgubili pieniądze, od lat dorabiali się na naiwności i chciwości ludzi pokroju ojca Connora.

– Serio? – Wzdycham, zerkając niechętnie na młodszego z sąsiadów. Nie jestem pewna, czy żartował, ale *wdzięczność* Connora za okazaną jego rodzinie pomoc, troszkę mnie irytuje.

W sumie nie od dziś znam chłopaka i domyślam się, że Connor tylko się ze mną droczy, ale prawdę mówiąc, chwilami mam tego dość. Zwłaszcza tych jego końskich zalotów – jestem pewna, że znów nieudolnie próbuje zwrócić na siebie moją uwagę; zdradza go cwaniacka mina. Czy naprawdę tak ciężko mu zrozumieć, że nie jestem nim zainteresowana?

– Wyluzuj. Tylko żartowałem – odpowiada i w końcu wręcza mi sznurek, szczerząc do mnie zęby w uśmiechu. – Ładną dziś mamy pogodę. Masz ochotę na spacer?

– Czemu nie. – Wzruszam ramionami, na chwilę zapominając, po co właściwie tu jestem. – Ale najpierw odprowadzę Merciego.

– Ciekawe ma imię ta twoja koza.

Nie odpowiadam, tylko tym razem to ja posyłam chłopakowi coś na wzór uśmiechu. Bowiem za imieniem Merci kryje się pewna historia.

Merci była prezentem, dowodem wdzięczności jednego z sąsiadów. Nora, żona pana Harrisa, który prowadzi małą, przynoszącą niewiele zysków farmę, chcąc wspomóc finansowo męża, zatrudniła się w pewnym przydrożnym barze, głównie obsługującym przejezdnych podróżnych i kierowców ciężarówek. Pani Harris pracowała w barze na nocne zmiany, dzięki czemu w ciągu dnia mogła zająć się domem. Podziwiałam ją za to na swój sposób, ale i jej współczułam. Na dłuższą metę bowiem praca na kilka etatów nie mogła się udać. To zbyt wyczerpujące. Jednak problemem Nory Harris nie okazało się zmęczenie, ale same warunki. Właściciel był wyjątkowym tyranem. Wymagał od niej więcej, niż była w stanie zrobić; zatrudnił ją w charakterze pomocy kuchennej, a zmuszał do stania na zmywaku czy sprzątnia toalet. Ale nie to przelało czarę goryczy kobiecie. Szef baru pewnej nocy zażądał od pani Harris przyjęcia ekstra zleceń; spędzania dodatkowego czasu z klientami – na zapleczu. Ponoć to wpisywało się w ogólne warunki umowy, co oczywiście było totalną bzdurą. Nierząd w Stanach, poza kilkoma hrabstwami w Nevadzie, jest zakazany. Ale podstępny właściciel baru uznał, że praca masażystki świadczącej *dodatkowe* usługi – już nie. Nie przekonywało go tłumaczenie Nory, że żadna z niej masażystka czy inna,

bardziej *wyszukana* specjalistka. Za niezastosowanie się do polecenia służbowego nieuczciwy pracodawca wyrzucił panią Harris z pracy, nie poczuwając się nawet do zapłaty za cały miesiąc jej harówki. Nora o wszystkim poinformowała męża. John wściekł się i postanowił wymierzyć sprawiedliwość na własną rękę. Pojechał do baru i sprzął na kwaśne jabłko tego cwaniaka. Ten zaś wniósł na niego skargę do szeryfa i ostatecznie sprawa trafiła do sądu. Skończyło się na niewielkiej grzywnie, ale gdyby nie moja znajomość prawa i przepisów, pan Harris mógłby spędzić wiele miesięcy za kratkami.

Po skończonym procesie sąsiad w ramach podziękowania zjawiał się w domu mojej babci z... kożą. Wystarczyłyby same kwiaty, choć nie prosiłam i o nie. Lubiłam pomagać ludziom bezinteresownie, wychodząc do nich z najwykleszą w świecie sąsiedzką pomocą. Nie robiłam tego dla zysku czy dla okazywanej mi potem wdzięczności. Czyniłam to z dobroci serca, licząc, że i ona kiedyś do mnie wróci. Dzięki ciężkiej pracy, samozaparciu i zdobytej na Harvardzie wiedzy mogłam się komuś jeszcze do czegoś przydać. Chociaż tyle. Czy to pewnego rodzaju pokuta za to, co wydarzyło się w Bostonie? Nie wiem. Ale gdy pomagałam innym, poniesiona przeze mnie porażka wydawała mi się wówczas mniejsza, mniej dotkliwa w skutkach.

– *Merci* po francusku znaczy „dziękuję” – wyjaśniam pobieżnie Connorowi, uśmiechając się do kolejnego wspomnienia, dla odmiany ściśle związanego z kożą.

Tamtego dnia pan Harris, by mi zaimponować, ukłonił się szarmancko i zaczął się popisywać zdolnościami poliglotycznymi zdobytymi jeszcze w czasach własnej młodości.

– *Merci, droga sąsiadeczko – powiedział.*

Oto cała historia tego dość nietypowego, ale jakże oryginalnego imienia mojej pupilki.

– Znasz francuski? – Connor przygląda mi się z uznaniem.

W odpowiedzi wzruszam obojętnie ramionami. Znam kilka języków, ale nie chwale się tym wszem wobec. Już wystarczy, że ludzie patrzą na mnie jak na taką, która wszystkie rozumy pozjadała w zakresie prawa, paragrafów i tego, co z tym związane. Niektórzy mają mnie za dziwadło, zwłaszcza ci, co poza Hunting nosa nie wyściubili.

– Tylko mi nie mów, że byłaś we Francji? – ciągnie Connor.

– Nie. Ale w Kanadzie, owszem. – Connor robi wielkie oczy, ale nie zamierzam mu tłumaczyć, że w jednej z prowincji Kanady, w Quebecu, wielu mieszkańców nawet nie zna angielskiego, ponieważ francuski jest tam językiem urzędowym. – Teraz jednak...

– Tylko mi nie mów, że wolisz tę głąszkę? – podrzuca, zataczając głową okrąg.

Odpowiadam skinieniem. Słowa wydają się tu zbyt ciche.

– Opowiedz mi, co cię tu sprowadziło z powrotem i dlaczego właściwie nadal tu jesteś?

Dociekliwy, nie ma co. I strasznie ciekawski.

– No bo chyba nie chcesz mi wmówić, że podoba ci się w tej dziurze tak bardzo, że postanowiłaś rzucić wielkie

miasto i na stałe osiąść tutaj, w miejscu, które właściwie nie ma ci nic do zaoferowania.

– A co, jeśli to prawda?

Zatrzymuję się na moment, żeby przywiązać Merci do jednego z drzew. Tym razem jednak robię to staranniej niż poprzedniego wieczoru. Wybieram solidniejszą gałąź i skrupulatniej zawiązuję na niej supeł. Nie mam ochoty znów biegać przez cały dzień za kozą. Merci bywa absorbująca, a do tego szybka i wyjątkowo cwana z niej istota. Kiedyś pół dnia sterczałam pod drzewem, nakłaniając ją do zejścia na dół. Do dziś nie wiem, jak tam weszła.

– To ja odpowiem, że ci nie wierzę. Dziewczyna taka jak ty...

– O, jesteś wreszcie. – Naszą dyskusję przerywa babcia, która ni stąd, ni zowąd nagle do nas dołącza. – Witaj, Connor.

– Dzień dobry, proszę pani. – Connor kłania się nieznacznie, z naciąganą elegancją. Dżentelmen z niego jak z koziej... nieważne. A potem ujmuje dłoń babci Trish i składa na niej pocałunek. Muszę jednak uczciwie przyznać, że jak na wiejskiego, prostego chłopaka ma nienaganne maniere. Wie, jak oczarować kobietę. Zwłaszcza moją babcie; ta zdaje się mieć do niego słabość, którą niestety najchętniej przełożyłaby na mnie. – Jak się pani miewa, pani Grand?

– A bardzo dobrze, dziękuję. A co u ciebie? Jak w tym roku zbiory?

W ubiegłym roku państwo Morris stracili prawie cały plon kukurydzy. A wszystko przez gradobicie, które doszczętnie zniszczyło uprawy.



– Bywało lepiej, ale nie narzekamy z ojcem. A jak pani zbiory? Udało się zebrać wszystkie zioła?

– Prawie. Gdyby nie ta ostatnia burza...

Nie słucham ich już. Po prostu skupiam się na czymś innym. Miałam zebrać maliny, ale nieopodal zauważyłam ich *kuzynki*, jeżyny – rosną dosłownie parę kroków ode mnie. Zerkam na płożące się w wysokiej trawie pędy, wypatrując dostatecznej liczby owoców. Myślę, że do śniadania będzie nam potrzebna solidna garść, może dwie. Zrywam więc kilka owoców.

– Emmo? Kochanie? – Odwracam się natychmiast. – A nie miałaś przypadkiem iść po jagody?

– Miałam, ale... – Już mam odpowiedzieć, że zmieniłam zdanie, ale babcia, jak to ona, zwyczajnie mnie ubiega.

– Connor ci pomoże, prawda chłopcze?

I wszystko jasne. Oj, babciu, babciu...



## Liam

*Mężczyzna zerka na mnie i na Sama z przedniego siedzenia pasażera. Kierowca w uniformie szofera również przygląda nam się we wstecznym lusterku. Wkurzają mnie, obaj. Nie jesteśmy małpami w cyrku.*

*– Do domu, proszę pana? – pyta siedzący za kierownicą tego drugiego.*

*– Tak. Ale najpierw zawieź nas do Bella Gusto.*

*– Oczywiście, proszę pana.*

*I znów spojrzenie tego wymuskanego paniczyka w szytym na miarę garniturze. Wkurza mnie tak bardzo, że mam ochotę powiedzieć mu coś do słuchu. Ale zamiast tego tylko odwracam głowę i przytulam ciasniej młodszego brata. Sam nadal jeszcze niewiele rozumie, ale dziś chyba czuje nadchodzące zmiany, bo drży w moich ramionach.*

*– Już – szepczę niemal bezgłośnie w jego włosy. – Nie obawiaj się. Przy mnie nic ci nie grozi.*

\* \* \*

*– To polecenie służbowe – słyszę w słuchawce, więc zduszam cisnące się na usta przekleństwo.*

Dziadka szanuję z wielu powodów – wiek jest jednym z nich. Ale kiedy dociera do mnie, czego tym razem ode mnie oczekuje, ledwie się powstrzymuję, żeby mu nie wygarnąć, co myślę o jego nieudolnym i jakże nietrafionym pomysle.

– Nie do moich kompetencji należy niańczenie tego gówniarza – oznajmiam wprost.

„Jego interesów także” – dodaję bezgłośnie.

– Mam przez to rozumieć, że odmawiasz? – słyszę stanowczy, surowy głos.

Wzdycham. Na to akurat pozwolić sobie nie mogę. Z dwóch powodów. Zbyt długo pracowałem na stanowisko, na którym się znalazłem, a moja odmowa mogłaby go mnie pozabawić. Dziadek nie znosi bowiem nieposłuszeństwa. Jest uparty i lubi stawiać na swoim. W dodatku wie, jak to robić. Ma do tego właściwe *narzędzie*. Władzę, z którą lubi się obnosić.

– Nie. Ale wiedz, że wcale mi się nie podoba to, do czego mnie zmuszasz, dziadku. Jestem potrzebny tutaj, w Vancouver, nie w Nowym Jorku. To działka tego gamonia, Sama.

– Przypadkiem nie jesteś dla niego zbyt surowy?

*Przypadkiem* nie. Ale ty, dziadku, zbyt pobłażliwy, owszem – mam ochotę wykrzyczeć do słuchawki, ale powstrzymuję się i tylko wzdycham.

Na co by się zdała moja awantura? Dziadek już i tak podjął decyzję i wątpię, żeby moje próby wpłynięcia na niego cokolwiek zmieniły. Sam to jego pupilek. Od zawsze nim był. Pomimo głupot, które stale robił. Mimo niedojrzałości, którą nieustannie pokazuje.

– Nie sędzę. Ale zostawmy to, dziadku. Skoro mam osobiście zająć się interesami w Nowym Jorku, to niech tak będzie. – Mam tylko nadzieję, że to stan tymczasowy i nie potrwa zbyt długo, ale nie mówię tego na głos. – Przy okazji zapytam: kto chwilowo zajmie się moimi sprawami tu, w Vancouver?

– O to się nie martw, chłopcze. Sprawy banku mają się dobrze, więc...

Kręcę głową i już go nie słucham. Oczywiście, że sytuacja w placówce, w której sprawuję prezesurę, wygląda obiecująco, a nawet jest kwitnąca. W końcu od lat wszystkiego dopilnowywałem osobiście. Nie jestem taki, jak mój młodszy brat, który zamiast myśleć głową, myśli... fiutem. Ja także święty nie byłem i raczej nie grozi mi beatyfikacja, ale w odróżnieniu od brata umiem rozgraniczyć interesy od przyjemności. Tymczasem Sam kolejny raz udowadnia, że nie umie pogodzić obu tych spraw. Jego wyjazd na Karaiby, w dodatku z jedną z pracownic, która przez łóżko awansowała na stanowisko dyrektorki działu, jest dowodem na brak jego odpowiedzialności i kompetencji. Zresztą nie ona jedna i zapewne nie pierwsza dostała pracę w Sensed Parade za ładne oczy. Jak przypuszczam, było ich wiele, a w kolejce stoją następne karierowiczki.

– Liam?

– Jestem – odpowiadam znużony. – Podeślij mi wszystkie niezbędne informacje, dziadku – dorzucam, tłumiąc kolejne ciche westchnienie.

– Cieszę się, że zawsze mogę na ciebie liczyć, chłopcze.

Chciałbym powiedzieć to samo, ale właśnie w takim momencie nie potrafię się na to zdobyć. Poza tym ujmowanie dziadkowi jego zasług względem mojej osoby byłoby krzywdzące. Bo to jemu zawdzięczam wszystko, własne życie.

Przebąkuję więc tylko pod nosem „nie ma sprawy”, a potem się rozłączam.

Odsuwam fotel i wstaję od biurka. Poluźniam krawat, rozpinam kilka guzików u koszuli i zerkam na rozciągającą się za oknem panoramę Vancouver oraz połyskującą w świetle zachodzącego słońca zatokę. Lubię to miasto i życie, które w nim prowadzę. Przez ostatnie trzy lata, po rozstaniu z Van, wrosłem w to miejsce i nawet nie przypuszczałem, że w najbliższym czasie przyjdzie mi je opuścić. A wszystko przez cholernego Sama i jego nieodpowiedzialne decyzje. Nie w smak mi przeprowadzka do Nowego Jorku. W zasadzie nie mam nic do samego miasta – w sumie do złudzenia przypomina mi to, w którym obecnie mieszkam – ale już do samych obowiązków, które mam przejąć po bracie, jak najbardziej mam spore obiekcje. Nie znoszę branży kosmetycznej, bo ani trochę się na tym nie znam. Czy to tak ciężko zrozumieć? Nie w głowie mi kremy, perfumy czy inne pachnidła. Cyfry od lat były moim sprzymierzeńcem. Kalkulowanie, budżetowanie i planowanie aktywów finansowych to sprawy, które nigdy nie były mi obce. Na perfumach znam się o tyle, o ile – kojarzę kilka markowych zapachów, których sam używam, nic poza tym. A kosmetyki to już w ogóle jakaś

czarna magia. Zwłaszcza od podszewki. Oczywiście nie jestem jakimś jebanym jaskiniowcem. Używam pianki do golenia, wody toaletowej czy żelu pod prysznic. Ale przecież zakupy kilku produktów w drogerii to nie to samo co ich produkcja. Czy aż tak trudno to co poniekórym pojąć?

– Panie prezesie? – Moje wewnętrzne dywagacje prze-rywa sekretarka. Zanim wetknęła głowę do mojego gabi-netu, zapukała cicho. – Mam odwołać wszystkie spotkania na najbliższy tydzień?

A więc dziadek o zaistniałych zmianach poinformował już nawet mój osobisty personel? Mogłem się domyślić, a nawet powinienem się tego po nim spodziewać.

– Obawiam się, że moja nieobecność w biurze może się przedłużyć nieco bardziej – odpowiadam szczerze.

– Rozumiem. – Ashley nie wydaje się zaskoczona. Najwy-rażniej dziadek zdążył już ją wtajemniczyć w swój spisek bardziej, niż sądziłem. – Wobec tego będę czekała na dalsze instrukcje, panie prezesie.

A ja? Kiwam tylko ze zrozumieniem głową. Słowa wy-dają się tu zbędne.

\* \* \*

Lot do Nowego Jorku przebiegł bez większych komplikacji. Dziadek zadbał o wszystko, jakby klasa biznes z wszelkimi udogodnieniami miała mi wynagrodzić inne niewygody. Po wyjściu z terminala łapię taksówkę i jadę prosto do wy-najętego apartamentu w 432 Park Avenue, wieżowcu

znajdującym się w ścisłym centrum, na Manhattanie. Kilka-  
naście pięter niżej znajduje się biuro Sensed Parade.

„Praktyczne rozwiązanie” – przelatuje mi przez głowę,  
kiedy wysiadam z auta i zerkam na zdający się sięgać nieba  
szklany budynek. „I będę miał stąd blisko do Central Parku”.

Ta myśl sprawia mi przyjemność. Lubię spacerować i ogólnie  
pojętą aktywność fizyczną, choć bywają dni, że nie mam  
czasu na sport i staram się pożytkować energię w inny, równie  
wyczerpujący sposób. Tutaj jednak, w obcym mieście, pewnie  
nie będę miał okazji spędzać wolnego czasu po pracy tak,  
jak preferuję. Kobiety, z którymi dość regularnie spotykam  
się w Vancouver, raczej nie przyłączą do mnie tysiące mil  
na pstryknięcie palcami, a w Nowym Jorku w zasadzie nie  
znam nikogo, poza bratem rzecz jasna, który z dnia na dzień  
dał nogę ze swoją nową kochanką. A i obawiam się, że na-  
wet gdybym chciał się z kimś *zaprzyjaźnić*, to zwyczajnie  
może mi zabraknąć na to czasu. Bo z tego, co zdążyłem  
się dowiedzieć, Sam zostawił mi niezły bajzel, więc każdą  
wolną chwilę zamierzam wykorzystać na sprzątnięcie tego  
syfu.

Naprawdę nie rozumiem jego postępowania. Też lubię  
się zabawić, i to nawet ostro. Ale żeby od razu stawiać wszystko  
na jedną kartę i tak z dnia na dzień wyjeżdżać na jakąś rajską  
wysepkę z kochanką? Brakuje tylko, żeby się tam z nią ożenił!  
Takie posunięcia trzeba gruntownie analizować, żeby po-  
tem uniknąć ewentualnych kłopotów. Wiem coś o tym.



Ruszam do budynku, ciągnąc za sobą dwie, niezbyt dużych rozmiarów walizki. Jestem praktyczny, dlatego zabrałem ze sobą tylko to, co uznałem za niezbędne. Podświadomie chyba jednak liczyłem, że nie zabawię w NYC zbyt długo. Naprawdę mam nadzieję, że mój młodszy brat się opamięta i wróci z wakacji wcześniej, niż zakłada dziadek. Nie mam ochoty zostawać tu dłużej niż to konieczne.

– Dzień dobry, proszę pana – dochodzi mnie zza kontuaru, jak tylko przekraczam próg wieżowca. – Pan Kennedy, prawda?

Kiwam głową, ale zanim cokolwiek odpowiem, mężczyzna w uniformie z logo Park Avenue, jak mniemam portier, mnie ubiega:

– Pańskie mieszkanie już na pana czeka. Pewnie jest pan zmęczony po podróży? – docieka, podchodząc do mnie i wręczając mi klucze. – Pan Kennedy senior zadbał o każdy szczegół, żeby czuł się pan tutaj jak najbardziej komfortowo. Kazał nawet...

Nie przysłuchuję się zbyttnio temu, co mówi ten człowiek – luksusów mam pod dostatkiem również w Vancouver – więc tylko przywołuję windę, której drzwi natychmiast się przede mną rozsuwają, i zerkam na portiera. Jestem znużony i zmęczony, muszę odpocząć.

– Pomogę panu – proponuje, po czym odbiera ode mnie walizki i przepuszcza mnie przodem.

Nie oponuję, choć nie lubię nadszkakiwania. To, kim jestem, nie powinno wzbudzać w ludziach przesadnej uniżoności.

Lubię być traktowany na równi z innymi. Jak zwyczajny człowiek, nie arystokrata, za którego w oczach wielu uchodzę.

– Dziękuję – odpowiadam tylko, a potem obaj wchodzimy do windy.

Towarzyszący mi mężczyzna naciska właściwe piętro. Czemu jakoś specjalnie mnie nie dziwi, że moje lokum znajduje się na samym szczycie? Dziadek wie, jak połechnąć moje ego. Ale jeśli sądzi, że w ten sposób wynagrodzi poniesione przeze mnie *straty moralne*, to jest w wielkim błędzie. Ze wszystkich wygód na świecie najbardziej cenię sobie prywatność i własne zdanie, które niestety zostało mi brutalnie narzucone, właśnie przez dziadka.

– Czy życzy sobie pan czegoś jeszcze? – pyta mnie... Harold; zauważam to imię na plakietce dopiętej do jego marynarki.

Mam nieprzemóżoną ochotę odpowiedzieć, że brakuje mi tylko świętego spokoju, ale gryzę się w język. Nie on tu zawinił, a dziadek, który zlecił mu *opiekę* nade mną.

– Dziękuję. – Siłę się na uprzejmość, a następnie, gdy dojeżdżamy na miejsce, wręczam mężczyźnie spory napiwek, sięgam po swoje bagaże i wychodzę z windy prosto do prywatnego holu, za drzwiami którego znajduje się moje obecne lokum. – Z resztą już poradzę sobie sam – dorzucam jeszcze przez ramię, widząc, że portier też jest gotowy do wyjścia.

Ten dzień był dla mnie naprawdę trudny. I jedyne, o czym w tej chwili marzę, to prysznic i sen. Tak, tego mi trzeba. Niezaprzeczalnie.

# PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

**Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!**

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA  
**Helion** 

# CZASEM SMUTNY KONIEC BYWA PO CZĄTKIEM CZEGOŚ FASCYNUJĄCEGO

Emma – młoda, zdolna i ambitna, studentka prawa na Harvardzie – wydaje się skazana na sukces. Dostała się na staż w szanowanej kancelarii i w dodatku związała się z synem właścicieli firmy. Sielanka? Cóż... pozorna. Dziewczyna szybko się przekonuje, że moralność jej narzeczonego pozostawia wiele do życzenia. Ponizona i upokorzona zachowaniem Kaya, popełnia straszny błąd. Porzuca więc marzenia o karierze i wyjeżdża do babci Trish. Zасыwa się na prowincji w stanie Wisconsin, gdzie dochodzi do siebie w otoczeniu zwierząt i natury. Pomaga sąsiadom, udzielając im w razie potrzeby darmowych porad prawnych.

Babcia uważa jednak, że Emma marnuje się na prowincji. Obmyśla intrygę i wysyła wnuczkę do Nowego Jorku, by tam odnalazła niejakiego Liama Kennedy'ego, który rzekomo jest Trish coś winien. W trakcie poszukiwań, w wyniku pomyłki, Emma przejmuję obowiązki asystentki prezesa wielkiej korporacji z branży kosmetycznej. Jednak ten Liam Kennedy jest zdecydowanie za młody i nijak nie pasuje do opisu mężczyzny, którego ma znaleźć. Czy to na pewno dobry trop? Co połączy asystentkę-prawniczkę i młodego prezesa? I jaką tajemnicę skrywała babcia Trish?

**Gorący i pełny zwrotów akcji romans biurowy z motywem enemies to lovers**

Patroni medialni:



☺ CUTE  
☺☺ SENSUAL  
☺☺☺ SPICY  
☺☺☺☺ DARK

**editio  
red**  
EDITIO.PL

ebook dostępny na:  
**ebookpoint**

ISBN 978-83-289-1760-6



cenę: 49,90 zł